

Wycena dóbr nierynkowych

W poprzednim miesiącu starałem się wyjaśnić, że pieniądz nie jest wstydlivym dodatkiem do „obiektywnych” analiz ekonomicznych ukazujących „prawdziwe” preferencje społeczne w odniesieniu do decyzji, które każdego dnia podejmujemy. Przeciwnie, pieniądz jest kluczowym instrumentem, bez którego nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, czego ludzie rzeczywiście sobie życzą. Dopiero na podstawie porównania cen różnych dóbr można wnioskować, jak ważne społecznie jest skierowanie posiadanych przez gospodarkę zasobów, by zaspokoić określone potrzeby. Problem jednak w tym, że pewne dobra nie pojawiają się na rynku, więc ich ceny nie da się tam zaobserwować.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu ekonomia była bezradna wobec wyceny dóbr nierynkowych. Dopiero w drugiej połowie 20. wieku rozwinęły się metody, za pomocą których również i ta sfera gospodarowania może być skonfrontowana z pieniędzmi. Z definicji dobro nierynkowe nie pojawia się na rynku, a więc nie może mieć ceny rynkowej. Nie kupuje się, ani nie sprzedaje ciszy, podobnie jak nie kupuje się, ani sprzedaje widoku słonia w naturalnym środowisku. Na dobra tego typu nie ma rynku i dlatego ani cisza, ani widok słonia nie mogą mieć ceny rynkowej. Jednak dla dóbr nierynkowych można konstruować sztuczne sytuacje, w których – podobnie jak na prawdziwym rynku – ścierałyby się przeciwstawne tendencje ukazujące zarówno podaż, jak i popyt. W wyniku tej konfrontacji można określić, ile ludzie są gotowi poświęcić z tego co mają, aby zapewnić sobie dostępność tego, co właśnie chcemy wycenić.

Metody wyceny dóbr nierynkowych opierają się na sztucznych konstrukcjach rynku i dzielą się na dwie grupy: rynków zastępczych (surogatowych) oraz hipotetycznych. Pierwsza przyjmuje za punkt wyjścia, że interesujące nas dobro nie jest wprawdzie samo wymieniane na rynku, ale wiąże się z pewnym dobrem rynkowym, które ma cenę. Dlatego badając to drugie można jednocześnie dowiedzieć się czegoś o pierwszym. Z kolei druga grupa metod zakłada konstrukcję hipotetycznego rynku, na którym to, co w rzeczywistości nie podlega wymianie rynkowej byłoby przedmiotem wyboru. W pierwszym przypadku wyceniamy dobra nierynkowe pośrednio, zaś w drugim – bezpośrednio. W związku z tym metody te znane są również pod nazwą – odpowiednio – pośrednich lub bezpośrednich.

Przykładem podejścia pośredniego jest tzw. metoda cen hedonicznych. Wprawdzie cisza nie podlega wymianie rynkowej, ale nieruchomości są dobrami *par excellence* rynkowymi. Tak więc porównując ceny nieruchomości, które różnią się od siebie wyłącznie tym, że jedna jest położona w okolicy hałaśliwej, a druga w spokojnej, można wnioskować o wartości, jaką ludzie przypisują ciszy. Rynek nieruchomości pełni rolę rynku zastępczego przy badaniu ciszy. Z kolei przykładem podejścia bezpośredniego jest tzw. metoda wyceny warunkowej. Pewne dobra – np. Morze Bałtyckie – nie dadzą się łatwo powiązać z jakimkolwiek prawdziwym rynkiem. Nie pozostaje wówczas nic innego jak tylko po prostu pytać, ile ktoś byłby gotów zapłacić za to, by zapewnić sobie dostęp do takiego dobra, gdyby trzeba było je „kupić” na jakimś hipotetycznym rynku (albo ile żądałby, gdyby miał zrezygnować z dostępu do niego). „Warunkowość” wyceny odnosi się do tego, że zapytywane o wycenę osoby udzielają odpowiedzi pod warunkiem akceptacji scenariusza opisującego ów hipotetyczny rynek.

Kilka wątpliwości nasuwa się przy okazji wyceny dóbr nierynkowych, z których część dotyczy zresztą wszelkich wycen ekonomicznych. Swego czasu ekonomiści wiązali wartość z

użytkowaniem dobra. Obecnie przyjmuje się, że wartość odzwierciedla nie tylko korzyści z tytułu użytkowania, ale również korzyści z tytułu samego istnienia dobra, którego fizycznie nigdy nie będzie się użytkowało. Na przykład wiele osób interesuje się żółwiem z Galapagos wiedząc, że nigdy nie ugotuje na nim rosółu, nie wykorzysta jego skorupy jako mebla, ani nawet nie obejrzy go w naturze. Co więcej, to zainteresowanie przekłada się na gotowość do zapłacenia na rzecz ochrony żółwia, a więc jest jak najbardziej realne. Tak więc wyceniając dobra nierynkowe – podobnie jak i rynkowe – bierze się pod uwagę nie tylko korzyści z tytułu użytkowania, ale wszelkie walory zawarte w przedmiocie wyceny.

Inna wątpliwość dotyczy spostrzeżenia, iż na wynik wyceny ma wpływ zamożność osób wyceniających. Dla wielu jest to fakt niedopuszczalny. Warto jednak zauważyć, że zamożność wpływa również na wyceny rynkowe. Czy się nam to podoba, czy nie, cena lodów albo butów zależy od tego, ile osób zgłasza na nie popyt i jak wiele są gotowe zapłacić (co oczywiście zależy od ich zamożności). Jest więc rzeczą powszechną, że zamożność uczestników życia gospodarczego ma wpływ na ceny, a zatem stwierdzenie, że tak się dzieje również w przypadku wyceny nierynkowej nie powinno dziwić. Nie może to podważać zasadności tej wyceny.

Na uwagę zasługuje antropocentryzm wycen ekonomicznych. Obliczając wartość, ekonomiści starają się zmierzyć, ile ludzie są gotowi zapłacić – w gotówce lub poświęcając w tym celu coś innego, np. swój czas bądź wysiłek – aby nabyć wyceniane dobro. Obserwacja zachowań osób kupujących prowadzi nieraz do wniosku, że są oni źli (np. jeśli kupują miny przeciwpiechotne), głupi (np. jeśli kupują idiotyczne gadzety), albo niedoinformowani (np. jeśli kupują żywność zatrutą chemikaliami). Ale tacy właśnie jesteśmy! Nie jest rolą ekonomisty, aby podnosić wartość widowiska, które jest moralnie budujące, ani obniżać wartości produktu, który jest nabywany przez głupców. Oczywiście społeczeństwo ma prawo dotować działania, które uzna za cenniejsze niż to, ile ludzie gotowi są za nie indywidualnie płacić i obciążać podatkiem te, które uzna za szkodliwe. Co więcej, obywatele powinni domagać się zakazu obrotu minami przeciwpiechotnymi, wyśmiewać nabywców idiotycznych gadżetów i egzekwować kontrolę skażenia żywności. Ale nie można oczekiwać, że tę rolę wypełnią ekonomiści. Ich zadanie polega na tym, aby badać, jakich wyborów dokonują ludzie, nie zaś oceniać, czy postępują źle czy dobrze. Nie można ekonomii mieszać z pedagogią i religią.

Ekologów gniewa nieraz fakt, że wartość ekonomiczna odnosi się do wycen dokonywanych przez ludzi i to zwłaszcza złych, głupich i niedoinformowanych. W szczególności, jeśli istnieje jakiś zasób przyrodniczy, o którym nikt nie wie, to nie ma wartości ekonomicznej. Chciałoby się stwierdzić, że ma przecież wartość "w rzeczy samej", niezależnie od tego, co ludzie robią. Oczywiście możemy w takich przypadkach mówić o wartości religijnej, patriotycznej, czy sentymentalnej, jednak nie wolno w to mieszać ekonomii. Istnieją teorie wiążące wartość z wkładem pracy, ucieleśnioną energią słoneczną, albo z jeszcze czymś innym. Mają prawo być rozwijane, ale łączenie ich z ekonomią nie jest uzasadnione. Przynajmniej nie z ekonomią uprawianą współcześnie jako nauka, a nie ideologia.

W kolejnych paru odcinkach bardziej szczegółowo opiszę metody, za pomocą których współcześni ekonomiści wyceniają przyrodę i jej zasoby. Będę się starał pokazać, jakie kłopoty się z tym wiążą, ale również, jakie praktyczne efekty dadzą się osiągnąć.